№ 1 WARSZAWA, DNIA 4 STYCZNIA 1913 ROKU ROK III

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



Rys. A Gawińskiego.

czytane

NOWY ROK.

(Z poezji Józefa Ignacego Kraszewskiego).

Rok Nowy! Witajmy Rok Nowy!
Choć prawda się zaćmi na chwilę,
Choć fałszu nas wrzawa zagłuszy,
Choć prawo da złamać się sile
My wiarą tą krzepmy się w duszy,
Że każda łza w krzywdach przelana
To lepsze przyszłości jest ziarno.
Więc choć nas smagają katusze,
Choć burzą nam grozi rok nowy,
My w górę i serca i dusze
Podnośmy i oczy i głowy.
Witajmy, witajmy Rok Nowy!



NOWY ROK.

(Z notatek Z. Glo...).

Narody starożytne rozpoczynały nowy rok na wiosnę, w marcu, chrześcijanie zaś poczęli liczyć go od Bożego Narodzenia, a Kościół postanowił święcić oktawę narodzin Chrystusa, to jest 1-szy stycznia, w którym nadano Mu imię Jezus. Wszystkie ludy obchodzą dzień ten wesoło i uroczyście. Ostatni wieczór starego roku, północ i narodziny roku nowego mają w sobie coś dziwnie uroczystego i tajemniczego. Nadchodzi chwila, w której rok stary kona i ukazuje się nowy. Czas, jako pojęcie abstrakcyjne, przybiera tu niejako postać zmysłową, Rok nowy — jakim będzie? jest tajemnicą i zagadką. A więc rzecz prosta, dla tych, co go dożyli, jest to pora życzeń, powinszowań i wróżb. Podług starego zwyczaju proboszcz w kościele po kazaniu winszuje parafjanom Nowego Roku, a po nabożeństwie na plebanji przyjmuje sam życzenia od wszystkich i udaje się do kolatora, gdzie znowu winszowano sobie wzajemnie. Ojcowie nasi dbali o życzenia noworoczne, jak o ważną żywota sprawę, bo płynęły one z prostego, szczerego serca i z sąsiedzkiego afektu. Wiedzieli wszyscy, czego komu życzyć należy, a rozum, dowcip, grzeczność, cześć, wdzięczność, serce i zażyła przyjaźń, siliły się na wysłowienie życzeń. Dawni Polacy witali się w Nowy Rok słowami: „Bóg cię stykaj", co oznaczało polecenie opiece Wszechmocnego. Rolnicy obsypywali się owsem na znak pożądanej obfitości zboża, a ci którzy obchodzili domy innych z powinszowaniem, nosili owies w rękawicy i na wszystkie rogi stołu sypali po szczypcie, aby tak całe stoły założone były chlebem w nowym roku. Dzień ten powinien zawsze zastać bochen chleba na stole domowym w świetlicy, jako znak obfitości daru bożego, który przez cały rok nie powinien schodzić z jego stołu, ale zawsze przysłonięty obrusem służyć na powitanie gościa i ubogiego.

Królowie dawali dworzanom swoim „na kolędę" nieraz kosztowne podarunki, gdy ci winszowali im „nowego lata".

W rachunkach króla Zygmunta I przechował się rejestr wydatków „na kolędy". I tak: panom wikarjuszom dano złotych 10, tatarom winszującym złotych 30, żakom, grającym niemiecką komedję grzywnę 1 i groszy 24.

Zygmunt August na Nowy Rok rozdawał hojną kolędę swoim dworzanom i służbie. Z okoliczności tej znaną jest powiastka o słynnym z dowcipu Stańczyku, trefnisiu nadwornym, który był ulubiony przez króla Zygmunta I, a po jego zgonie pozostał na dworze syna jego Zygmunta Augusta. Młody król obrażony jakimś starego błazna żartem, nie dał mu żadnej na Nowy rok kolędy. Gdy przybyli senatorowie z powinszowaniem do monarchy, Stań-

czyk chodził smutny i głośno wzdychał, a zapytany o powód niezwykłej troski, odpowiedział z cicha, ale tak, że król usłyszał:

— Dla mnie rok nie nowy, bo suknie mam stare.

Dobry dla wszystkich król uśmiechnął się i kazał dać Stańczykowi nowy kontusz, żupan, pas i buty.

Dawni magnaci bywali hojni stosownie do zasług swoich dworzan i krewnych, rozdając im „na kolędę” nieraz wioski a zwykle konie, rzędy, puhary, drogie pasy, bobrowe kołpaki, delje podbite sobolami, rysiami, szable i t. d. Szlachta dawała „kolędy”, na jakie było ją stać. Franciszek Zabłocki, w jednej ze swoich komedji opisując obchód kolęd za czasów Stanisława Augusta, powiada:

„Mamy tyle czeladzi, każdy chce kolędy,
Trzeba wszystkim coś wetknąć, taki zwyczaj wszędy,
Rok na to czekali, raz w Gody ta łaska”.

Dzieci i żakowie szkolni prawili rodzicom, dobroczyńcom i przełożonym powinszowania prozą lub wierszami, po polsku lub po łacinie. Gdy dawniej prawie wszystkie szkoły w kraju znajdowały się w klasztorach, bywało wielu ubogich chłopców ze wsi i miasteczek oddawanych tam na naukę, których zakonnicy uczyli bezpłatnie i dawali im mieszkanie, a poczciwi ludzie żywili biedaków. Wyrobił się więc taki zwyczaj, że ci uczniowie, czyli jak ich nazywano żaki, mieli własne garnuszki i przychodzili z nimi po obiad, lub wieczerzę do mieszkańców miasta. Na Nowy Rok zaś, zebrawszy się w gromadki, obchodzili wszystkie domy, winszowali nowego lata i starali się zaśpiewać coś takiego, żeby pobudzić do wesołości i hojności zarazem. Oto parę zwrotek jednej z tych starych a wesołych pieśni żaków kolędujących:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ śpichrze otworzyć i miechy nasporzyć,
Żyta ze trzy wory i woły z obory,
Hej kolęda, kolęda!

Chleba pytlowego i masła do niego,
Każ stoły nakrywać i talerze zmywać,
Każ dać obiad hojny, boś Pan Boga-bojny,
Hej kolęda, kolęda!

Kaczka do rosołu, sztuka mięsa z wołu,
Z gęsi przysmażanie, zjemy to mospanie,
I udzik zajęczy, i do niego więcej,
Hej kolęda, kolęda!

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ dać gąsior wina, bo w brzuchu ruina,
Nie długo się bawcie i drugi postawcie,
Hej kolęda, kolęda!

Dla większej ochoty, daj czerwony złoty,
Albo talar bity, będziesz znakomity,
Daj i żupan stary, byle jeszcze cały,
Hej kolęda, kolęda!

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej kolęda, kolęda!

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Bacz, w jakim to czasie i daj dwie kiełbasie,
Które kiedy zjemy, to podziękujemy,
Hej kolęda, kolęda!

Żaków miejskich naśladowała dziatwa wioskowa, obchodząc chaty i dwory „za nowem latkiem” i za powinszowania dostając smaczne kąski na noworoczną biesiadę. Życzy ona i winszuje najczęściej w ten sposób:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,
Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!
Aby was nie bolała głowa, ani bok,
Aby wam się rodziła i kopiła
Pszenica i jarzyca, żytko i wszytko,
Abyście mieli w każdym kątku po dziesiątku,
W stodole, w oborze, w komorze i na górze.

dziękując za kolędę:

Za kolędę dziękujemy,
Zdrowia, szczęścia, wam życzemy,
Byście państwo długo żyli
Zdrowi i weseli byli
Na ten Nowy Rok,
Co nam dał go Bóg.

Lud żegna rok stary i wita nowy z wielką wesołością. Figle i dowciwy młodzieży sypią się jak z rękawa. Chłopcy i dziewczęta czynią sobie psoty wzajemnie. Zamazują szyby gliną, wciągają na dymnik bronę, lub drzwi chaty pniem zakładają, żądając okupu za usunięcie jego, kradną rzeczy i za „wykup" sprawiają ucztę wspólną.

Na ostatnią wieczerzę starego roku podaje się lemieszka z mąki pszennej lub hreczanej, suto okraszona, żeby tak cały rok następny była tłusta. Swawolna młodzież przy spożywaniu lemieszki uderza się łyżką po twarzy i po wieczerzy maże nią okna, a to dla tego, żeby w nowym roku usta wszystkich, domy i stodoły były zamazane chlebem i zbożem. Miejscami w Nowy Rok drzewa owocowe opalają i słomą opasują, żeby oficie rodziły, poczem jeden drugiego niesie na sobie z sadu do chaty, na znak, żeby w roku następnym owoce tak noszono.

W wigilję Nowego Roku wieczorem dziewczęta czynią wróżby zamążpójścia. Więc leją na wodę roztopiony wosk lub ołów, dopatrując w krzepnącym wosku i ołowiu kształtu symbolicznych przedmiotów. Tej odlał się koń, miecz lub podkowa—pójdzie za rycerza; tej habit—zostanie mniszką; innej wieniec—przepędzi rok w panieństwie; tamtej krzyż—to najsmutniejsza wróżba... mogiły.

Wybiegają przed dom, nabrawszy w warzęchę lemieszki i słuchają psów dalekiego szczekania: z której strony ono doleci, z tej młodzian w zaloty przybędzie. Jeżeli słychać z dwóch stron, to podwójne przybędą swaty: jeżeli cicho wszędzie, to rok przeminie w panieństwie; a jeżeli od strony cmentarza, to wróżba ze wszystkich najgorsza. Zapalają lekkie wiechetki lnu; u której w górę wzleci, ta wysunie się za mąż niebawem. Szczęśliwych dziewcząt gałki chleba pies wpuszczony do izby najpierw chwyta, a kogut ziarnka pszenicy, trzewiki ich w niecce do góry podrzucane, najpierw na podłogę wypadają.

Kaz. Wł. Wójcicki tak opisuje z czasów młodych lat swoich wigilję Nowego Roku zwaną „Bohatym wieczorem" u Rusinów nadbużnych: „Przed Nowym Rokiem na bohaty weczor w niektórych miejscach szczodrym nazwany, gospodynie mięsiwo i inne potrawy gotują, pieką placki i pirogą. Dziewczęta i chłopcy przebrani za cyganów, dziadów z przewróconym kożuchem, chodząc powtórnie za kolędą (raz pierwszy chodzili w święta Bożego Narodzenia), udają głosem różne zwierzęta. Gdy chłopcy życzenia prawią, dziewczęta rzucają na ogień siemię lniane, które z trzaskiem pęka. Jeśli ich nie częstują, sami zjedzą, co zastaną i powyrywawszy pióra z drobiu, zdobią niemi czapki. Obszedłszy całą wieś wracają na umówione miejsce, gdzie jedna z dziewcząt obrana gospodynią, przy pomocy innych gotuje wieczerzę, a chłopcy za pieniądze uzbierane przynoszą napitki i biesiadują do późnej nocy".

Kto mógł, jechał na łowy w wigilję, aby z polowania wróżyć o szczęściu myśliwskim i powodzeniu zamiarów w Nowym Roku. Wieczoru Sylwestrowego nie obchodzili Polacy, chyba modlitwą dziękczynną, za łaski w ciągu roku od Boga doznane. Obyczaj to nowszy i dzisiejszy ucztować w tak uroczystej chwili. Z rana w dzień Nowego Roku gromadziła się czeladka i rodzina około głowy sędziwej ojca a pana, winszowali wszyscy, składali życzenia,

ściskano się wzajemnie, nie odbywało się bez płaczu. Wieśniacy, starszyzna gromady, przychodzili z kurą, z ręcznikiem, z bułką chleba i oracją, obsypywali jegomości i jejmość wszelkiem zbożem, aby rok był plennym i obfity.

Do dnia noworocznego odnoszą się przepowiednie i przysłowia starodawne:

Nowy Rok pogodny—zbiór będzie dorodny.
Gdy na Nowy Rok jasno — w gumnach będzie ciasno.
Gdy Nowy Rok mglisty—jeść będą zboże glisty.
Na Nowy Rok—przybyło dnia na barani skok.



W NOC SYLWESTROWĄ.

— Paniczu, czas!

Walek wstrząsnął silnie ramieniem Tadzia raz, drugi...

Chłopiec otworzył szeroko oczy, rozglądał się chwil parę nieprzytomny, wreszcie zerwał się na równe nogi.

— Prawda!

Był całkowicie ubrany, należało tylko włożyć buty.

— Niech panicz lepiej weźmie do ręki i dopiro w przedpokoju wzuje... Po podłodze dużo hałasu narobią.

— Przecież rodziców nie ma w domu. Pojechali z Dziunią na bal.

— Ale pani ochmistrzyni ma sen letki... Niech się przebudzi nie w porę—wszystko przepadnie.

Tadek posłuchał. Trzymając buty w rękach, przemknęli się chłopcy do przedpokoju. Tu ubrali się w ciepłe kożuszki, czapki i rękawice. . Tadek, naturalnie, włożył buty... Walkowy kożuszek był ciepły, lecz nieco przykrótki! Nic dziwnego: Walek był równego wzrostu z Tadkiem, a zwykle ponaszał jego rzeczy.

Bez hałasu otworzyli drzwi i wybiegli na dwór, gdzie owiało ich ostre, mroźne powietrze.

— Jak ślicznie! — wyrwał się Tadkowi okrzyk.

Rzeczywiście, noc była niezwykle piękna: niebo usiane miljardami gwiazd migocących i błyszczących dziwnie tajemczo. Pod nim niezmierzone białe przestrzenie, na których, niby odbicie gwiazd skrzyły się przepiękne djamenty.

— Prędzej, paniczu! Zanim dwunasta wybije, musimy być w lesie...

Pobiegli.

— Ciekaw jestem, czy też co zobaczę! Obawiam się, czy nie zostaliśmy przez starego Macieja wystrychnięci na dudków. Cała pociecha w tem, że o naszej wycieczce nikt nic nie wie. Jeżeli się nie uda, nie będą nas przynajmniej wyśmiewali—rozmyślał Tadek, a po głowie Walka w tym czasie snuły się również wątpliwości i nadzieje.

Gdyby... o, gdyby tak dojrzeć, gdzie skryty jest miecz ten ognisty, co najsilniejszego wroga pokona... Albo-li uchwycić konia skrzydlatego, dla którego nic

nie znaczą morza, góry, przestrzeń, choćby najdalsza...

— Paniczu, tu rozstaje. W którą stronę panicz pójdzie?

Tadkiem wstrząsnął dreszcz; samemu puszczać się w las po nocy, to trochę nie miło!

Walek widać dostrzegł wahanie się panicza.

— Na to nie ma rady. Samemu iść trza. Tak mówił Maciej. Bać się nie ma czego.

— Także coś! Bać się! Jaki mi bohater! Kto się boi? Ty może? — oburzył się Tadek.

— Więc w którą stronę?

— Losujmy!

— Dobrze! Gałązka jedliny — droga do dębu! Świerk — do głazu nad jeziorkiem!

W milczeniu losowali.

Tadek miał pójść do dębu.

— Paniczu, tu jest szkatułka. Na przypadek, gdyby się skarby znalazły.

— Et, nie zawracaj głowy. Chyba w takie głupstwa nie wierzysz?

— Wierzyć nie wierzę, ale przezorność nie zawadzi!

Tadek, mimo, że się zarzekał, wziął z rąk Walka małe zawiniątko, lecz nie śpieszył z odejściem.

— Pora już! A niech panicz nie zbłądzi. Ścieżka prowadzi prosto i na gwiazdkę trza patrzeć...

— O, nie potrzebujesz mnie uczyć. Wiem sam, jak iść!

— Z Bogiem!

— Naprzód, śmiało i odważnie!

Tadek pomaszerował przed siebie, krzepiąc się w duchu, jak umiał. A jednak nie było mu przyjemnie. Im więcej zagłębiał się w las, tem trudniej było orjentować się w kierunku: drzewa, wystrojone w śnieżne szaty, utkane brylantami, były wszystkie takie jednakowe, ścieżki wyraźnie wydeptane w lecie, zniknęły bez śladu pod puszystą pierzyną, a na domiar trudności księżyc skrył się za chmury, które nadciągać zaczęły gromadnie.

Nagle świst, huk, trzask, jęki i wrzaski jakieś napełniły las. Tadek zatrzymał się przerażony, lecz wnet opanował się.

— Jaki też osioł ze mnie! Toż to wiatr się zerwał. Przecież w żadne duchy nie wierzę!

Pomimo jednak, że wiedział, iż to wicher takie hałasy wyprawia, uczucie zgrozy nie opuszczało go.

— Głupia historja! Potrzebne mi było włóczenie się po nocy w lesie. I po co? Dla bajd starego Macieja! Mogłem przecież zrozumieć, że w tych opowiadaniach nie ma ani źdźbła prawdy. Zwierzęta mają gadać! Wszystkie martwe przedmioty ożywać! To są bajki dla dzieci! Najlepiej zrobię, jeżeli wrócę.

Nagle zawirowały wokoło niego wielkie płaty śniegu i, o zgrozo! Tadek słyszy najwyraźniej szept jakiś dziwny, przenikający mu do uszu:

— Tchórz tylko wraca z połowy drogi!

Nie, tchórzem Tadek nie jest! Tylko nie wierzy w bajki.

— W każdej bajce szukaj prawdy!

Naturalnie! Tu już w bajce znalazła się prawda, bo oto płatki śniegu mówić zaczynają! Niech no jeszcze drzewa ożyją...

Lecz co to? Ten smukły świerk wyraźnie odłącza się od ziemi i kroczy powoli w stronę Tadka. Za nim poruszają się inne... porusza się las cały, wołania jakieś słychać, chrzęst, hałasy...

Tego było za wiele dla chłopca! Z przeraźliwym okrzykiem zawrócił i pędzić począł przed siebie... Ale zewsząd żywe drzewa zagradzały mu drogę, zewsząd groźne głosy nawoływały:

— Tchórz! Stój! Przed nami nie uciekniesz!

Nagle jakiś mały krzak, niby karzełek

o dziesiątkach rąk podstawił mu gruby, sękaty kij i Tadek runął na ziemię.

Gdy po chwili ośmielił się podnieść i spojrzał wokoło, otaczał go cichy, spokojny bór, spowity śnieżną szatą zimy. Tylko po wierzchołkach drzew przebiegały ciche, tajemnicze szepty...

Już miał spełnić swój zamiar, gdy od strony boru rzuciły się ku niemu znów głosy jakieś niezwykłe: to już nie wiatr huczał i wył między drzewami, wyśpiewując dzikie melodje! Słychać było najwyraźniej ciężkie stąpanie rumaków, chrzęst broni, a nad tem wszystkiem specjalne



Rys. B. Wisłockiego.

— Wszystko to imaginacja! Prawdę mówi przysłowie, że strach ma wielkie oczy! Uf, jak się zmęczyłem! Odpocznę!

Był przy drodze jakiejś, pod drzewem. Czapka spadła mu z głowy, rękawiczki zsunęły się z rąk.. Ogarniała go senność.

— Aha, wiem co to znaczy! Gdybym sobie pozwolił zasnąć, zmarzłbym na śmierć. No, wstawaj, mości panie i ruszaj w drogę!

jakieś dźwięki, jakby granie wichru o stalowe pióra, jakby prucie powietrza potężnemi skrzydłami..

Tadek skulił się pod drzewem: cokolwiek to będzie, lepiej, żeby był niewidoczny.

Tentent zbliżał się i oto chłopiec dostrzegł dwóch rycerzy, lśniących całych, jakby wzięli na siebie wszystkie brylanty królowej zimy, o twarzach jasnych, pro-

miennych. Pędzili szybko i chłopiec myślał, że ominą go w pędzie, gdy nagle zatrzymali konie.

— Co w lesie? — zapytał jeden z nich.

— Nic, jeno drzewa ożyły! — odparł Tadek, patrząc jak oczarowany w jasną twarz rycerza.

— To nasi! — zawołał drugi. — A nic innego niema?

— Nie widziałem! Tylko płatki śniegu gadały...

— To nasi! Na zwiady jedziem. Czy droga swobodna. A jeśli w tę godzinę czarów wojsko nasze bez przeszkody żadnej drogę tę przebędzie, znaczy to, że dzień wyzwolenia blizki. Baczność tedy!

Zanim Tadek zdążył odpowiedzieć, rycerze pomknęli dalej.

Chłopiec poczuł, że nagle przybyło mu siły i lat. Włożono nań wielki obowiązek, spełni go, choćby życie dać przyszło.

Szum wielki, niby rozkołysane morze zbliżał się.

Jasna, biała droga leżała cicha, spokojna, gdy nagle... z pod lasu pełznąć począł niby wąż olbrzymi, ciemny o zielonych lśniących ślepiach... ku drodze, a gdy nań padł blask ów, zapadła nagle ciemność, w której tylko dwa ślepia świeciły złowrogo.

— Ratować! — przemknęło przez głowę chłopca.

Zerwawszy się z miejsca, rzucił się do potwora, który swemi potężnemi, ciemnemi zwojami pokrywać począł drogę.

Chwyciwszy sęk jakiś, wymierzył cios w samą głowę węża. Lecz od tego uderzenia bardziej tylko zaświeciły zielone ślepia i dalej wielkie cielsko zawalało jasną drogę.

Tadek wymierzał cios po ciosie, oszalały z wściekłości i rozpaczy: szum srebrnych skrzydeł zbliżał się coraz bardziej, a przeszkoda rosła i rosła.

Nie ocali skrzydlatych rycerzy, nie usunie zdradliwego cielska o zielonych ślepiach, nie spełni włożonego nań obowiązku!

Już mu ręka osłabła, pot kroplisty wystąpił na czoło, oczy zaciągać się poczęły mgłą czarną... olbrzymie skręty wężowe zaściełały już drogę całą..

Nie ocali skrzydlatych rycerzy...

Gdy wtem z drugiej strony drogi mignęła postać jakaś: to Walek! W rozwianym kożuszku, zdyszany, zziajany przypadł do Tadka.

— Paniczu! Daj rękę.. jeno te ślepia bestji zgasić, jużby moc wszelką straciła.

Wzięli się za ręce i znów z nową mocą nacierać na potwora zaczęli — wciąż jednak daremnie.

A szum się zbliżał, ziemia drżała od tententu koni!

Nie ocalą skrzydlatych rycerzy...

Tadkowi łzy stanęły w oczach, powstrzymać ich nie mógł: pobiegły po twarzy i stoczyły się na wielkie cielsko bestji. Zachichotały wszystkie kręgi, zazgrzytały radośnie i zdawały się wzrastać w siłę.

A po czole Walka spływały krople potu i oto dwie z nich spadły na łeb, świecący zielonemi ślepiami; skurczył się potwór, jakby zmalał..

Więc chłopcy, ledwie dysząc, tłukli dalej potwora, aż ręce z wysiłku krwawić im poczęły, a ile razy kropla krwi zmieszana z kroplą potu pracy i wysiłku padły na sploty bestji, kuliły się one, zmniejszały, wreszcie widoczne było, iż ustępować zaczęły.

— Jeszcze trochę, paniczu!

— Wytrwam!

Tuż, tuż tentniały po grudzie kopyta końskie, powietrze całe pełne było chrzęstu i szczęku, a droga leżała jasna, cicha i pusta...

Tadek padł pod drzewo bez sił, gdy koło niego przeciągał huf rycerzy skrzydlatych, całych jakby z mgły, lecz zara-

zem z mocą jakąś i siłą, jakby ze stali byli...

— Paniczu! Na mrozie nigdy spać nie trza! Prędko wracajmy do domu. Już dawno po północy!

Tadek podniósł ociężałe powieki, spojrzał w twarz Walka: jasna była i promienna.

Bez słowa wzięli się za ręce i pobiegli w stronę dworu...

Marja Buyno.



POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

ROZDZIAŁ I.

Zdrajca.

Dom handlowy Henryka Szulca w Hamburgu cieszył się od dawien dawna doskonałą opinją nietylko w Niemczech, ale i po za ich granicami. Firmę tę założył przed stu laty pradziad obecnego właściciela, Polak, mimo niemieckiego imienia, bardzo skromnemi środkami, kierując się najważniejszemi zasadami kupca, to jest: pilnością, sumiennością i roztropnością. Stary Szulc miał początkowo do pokonania wiele trudności, niejedną noc przesiedział nad księgami rachunkowemi. Szczęście jednak mu sprzyjało, a interes z każdym dniem się rozwijał.

Firma H. Szulca zajmowała się początkowo dostawą narzędzi i przyborów okrętowych, przeważnie lin. Z czasem, dzięki szybkiemu rozrastaniu się komunikacji parowej i ożywionej żegludze, firma mogła rozwinąć szeroką działalność w kierunku technicznym i obecny właściciel, Henryk Szulc, był człowiekiem bardzo zamożnym i prowadził interes na wielką skalę.

Pewnego dżdżystego, jesiennego wieczoru, pochylony nad stosem zapisanych papierów, siedział przy biurku swem bardzo zamyślony.

Już od kilku tygodni zajęty był konstrukcją składanej łodzi ratunkowej, nie ulegającej zatopieniu, którą w najgorszem niebezpieczeństwie można było z całą pewnością spuszczać na morze. Wynalazcą tej nowej łodzi był młody inżynier, Jan Chmurzyński, współpracownik firmy, p. Szulc bowiem starał się, o ile możności, dawać zajęcie swoim rodakom.

Po dokonanej próbie Henryk Szulc zrozumiał, że jeżeliby próba odpowiedziała rzeczywistości, byłby to bezwątpienia miljonowy interes.

Za kilka dni właśnie miano wysłać model wraz z rysunkami i odpowiedniemi

opisami do cesarskiego urzędu patentowego w Berlinie w celu opatentowania wynalazku.

Dziś oto, rozważając raz jeszcze projekt, przyszły mu na myśl pewne poprawki i uzupełnienia, o których chciał pomowić z wynalazcą i swym prokurentem.

— Proszę poprosić panów Kruze i Chmurzyńskiego — rzekł do woźnego — poproś, aby przynieśli model łodzi i rysunki.

Przedmioty te, jak zwykle rzeczy trzymane w tajemnicy, znajdowały się w specjalnym pokoju, do którego nikt prócz szefa, prokurenta i kilku techników nie miał dostępu. Ze zrozumiałych zresztą powodów pilnowano, aby się nawet nie domyślano miejsca przechowywania modelu. Wtajemniczeni obowiązani byli zachować to w milczeniu.

Pan Henryk Szulc przeglądał w dalszym ciągu papiery, lecz dziwiło go, że dotąd żaden z zawezwanych pracowników nie zjawiał się. Miał właśnie zadzwonić na służącego, chcąc spytać, czy spełnił jego polecenie, gdy obydwaj panowie nieco zmieszani, ukazali się w drzwiach.

Prokurent Kruze był to starszy, siwy już człowiek o rysach energicznych i szlachetnych.

Jan Chmurzyński liczył zaledwie lat 24, dzięki jednak swym niepospolitym zdolnościom i pracowitości, zajmował poważne stanowisko w technicznym dziale firmy. Była to smukła, muskularna postać o jasnych, wesoło patrzących w świat oczach, które zdawały się mówić: wszystko należy do mnie!

Teraz, gdy Chmurzyński stanął przed zwierzchnikiem, w spojrzeniu jego malowało się zdziwienie i niepokój.

— Przynieśliście panowie model? – spytał szef, skinąwszy głową wchodzącym.— Przyszło mi jeszcze coś na myśl.

— Modelu w pokoju nie ma — rzekli obydwaj jednocześnie, prokurent zaś ciągnął dalej:—szukaliśmy wszędzie napróżno, rysunków również nie znaleźliśmy. Zdaje mi się, że pan miał model wczoraj u siebie?

- Istotnie, ale po południu odniosłem go osobiście na zwykłe miejsce. Może przez omyłkę postawiono go dziś w biurze technicznem?

— Niestety—rzekł przygnębiony Chmurzyński—i tam o nim nic nie wiedzą!

Szef niedowierzająco spojrzał na swych pracowników, poczem wstał i udał się wraz z nimi na poszukiwania.

Wszyscy trzej poszli do pokoju, w którym zwykle przechowywano model, nie było go tam jednak, jak również w biurze technicznem i przyległych pokojach. Oprócz Kruzego i Chmurzyńskiego do pokoju, w którym znajdował się model, mieli wstęp współpracownicy firmy: Bekera, Shenzek, Bredow i Gonzales. Żaden jednak nie umiał objaśnić, co się stało z modelem.

— Gdzie jest pan Gonzales? — spytał szef, szukając go wzrokiem wśród pracowników, w tej chwili jednak dodał:

— Prawda, wczoraj przecież zwolniłem go na dwa dni; miał jechać w osobistej sprawie do Berlina.

Przez chwilę zapanowało przykre milczenie. Pytające spojrzenia krzyżowały się i oczy spuszczały się w zmieszaniu. Jakto, czyżby zagadkowe zaginięcie modelu miało mieć związek z wyjazdem kolegi?

Zatrzymajmy się na chwilę nad osobistością, imię której wszyscy obecni mieli na ustach, nie wymawiając go.

Alfons Gonzales był synem osiadłego w Meksyku Hiszpana i Kreolki. Na prośby ojca, który w Vera Cruz prowadził drobny handel materjałami okrętowemi, został przyjęty przed pół rokiem do firmy Henryka Szulca, jako praktykant. Gorliwość, a bardziej jeszcze spryt i ujmujące obejście zjednały mu wkrótce pewne zau-

fanie; jednakże młody południowiec nie na wszystkich wywierał dodatnie wrażenie. Niektórzy zachwycali się jego uprzejmością, miękkim, melodyjnym głosem; inni znów, pod kocią układnością przeczuwali fałsz. Do tych ostatnich należał Chmurzyński. Młody inżynier z nieufnością odnosił się do oliwkowego mieszańca, pomimo, że ten wszelkiemi sposobami starał się go sobie zjednać.



Dowiedziawszy się, że Gonzales wziął urlop, ani na chwilę nie wątpił, że on to skradł model łodzi i, naturalnie, nie miał zamiaru wrócić.

Pan Szulc odgadł przypuszczenia Chmurzyńskiego. Pożegnał swych współpracowników, poleciwszy cały ten wypadek zachować w tajemnicy, sam zaś z Kruzem i Chmurzyńskim udał się do swego prywatnego gabinetu.

— Doprawdy, trudno mi uwierzyć—zaczął zdławionym głosem. — Może to żart niewinny... Wszystko się we mnie burzy na myśl, że zdrajca mógł być między nami. Nigdy, odkąd firma nasza istnieje, nie było wypadku sprzeniewierzenia. Co pan o tem sądzi, panie Kruze?

Stary prokurent z zakłopotaniem wzruszył ramionami:

— I ja nie chcę wierzyć, aby takiego

czynu dopuścił się Gonzales, na wszelki jednak wypadek trzeba przedsięwziąć odpowiednie środki.

Szef spojrzał na młodego inżyniera.

— A pan, panie Chmurzyński, najbardziej z nas wszystkich dotknięty, co pan o tem wszystkiem myśli?

— Panie Szulc — odparł Chmurzyński czystym, pewnym głosem — jestem przekonany, że nikt inny, tylko Gonzales zabrał model i rysunki; teraz ucieka za granicę i tam skorzysta z mego wynalazku. Mógłbym wprawdzie po raz drugi zbudować łódź, konstrukcja jej przestanie jednak być już tajemnicą, za kilka dni może być nawet na rynku. Chciałem pana prosić o udzielenie mi natychmiast urlopu, może uda mi się jeszcze schwytać złoczyńcę.

— To się rozumie samo przez się, mój przyjacielu — rzekł szef. — Ja tutaj poczuwam się do winy, ponieważ nie powinienem był tak dalece zaufać Gonzalesowi. Wszelkie koszta naturalnie ja poniosę; proszę, niech pan użyje wszelkich środków, aby tylko schwycić zbiega. Tylko prosiłbym pana, o ile to możliwe, nie zwracać się przynajmniej chwilowo do władzy. Jeszcze nigdy nie używaliśmy policji, chciałbym zaoszczędzić sobie tego ostatecznego kroku.

— W zupełności podzielam zdanie pana — odparł Jan. — Obejdziemy się bez policji; ja sam będę swym detektywem.

Pożegnawszy się z szefem, Chmurzyński wyszedł.

Szczęście mu sprzyjało, gdyż wkrótce trafił na wiele obiecujący ślad. Nie wierzył ani na chwilę w wyjazd Gonzalesa do Berlina.

Jan Chmurzyński przejrzał kilkakrotnie rozkład jazdy okrętów, pragnąc dowiedzieć się, jakie parowce odbiły wczoraj i dziś. I oto pewna notatka zainteresowała go bardzo: dziś popołudniu odszedł do Vera-Cruz parowiec angielski pasażersko-towarowy „Trafalgar”. Vera-Cruz było rodzinnem miastem zbiega, można więc było przypuścić, że Gonzales tym właśnie okrętem odjechał. Była to prawdopodobnie oddawna uplanowana ucieczka.

Chmurzyński pobiegł natychmiast do biura przystani, z której odpłynął „Trafalgar”. Zebrane tam wiadomości potwierdziły jego przypuszczenia. Wprawdzie na liście podróżnych nazwisko zbiega nie było zamieszczone, lecz opis powierzchowności jednego z pasażerów zgadzał się w zupełności z osobistością poszukiwaną. Podobno przybył do przystani niedługo przed odejściem parowca, bardzo zmęczony, co zwróciło uwagę służby. Pomiędzy pakunkami zauważono skrzynkę wielkości sześcianu metrycznego. Bezwątpienia, zawierała ona model łodzi; w jaki jednak sposób udało się go wynieść z domu handlowego bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, to było trudne do odgadnięcia.

Wróciwszy, młody inżynier zastał jeszcze szefa i prokurenta w gabinecie.

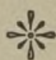
— Znam „Trafalgar” — rzekł Szulc, zanim Chmurzyński zdążył zdać sprawę z wywiadu. — To stare pudło, do zatoki Meksykańskiej płynie przeszło 22 dni. Mamy więc dość czasu, aby drogą krótszą, mianowicie przez Nowy-York, a stąd koleją żelazną wyprzedzić go i ująć, gdy tylko okręt jego przybędzie do Veracruz.

— Gdyby nawet okoliczności najpomyślniej się złożyły, kilka mylnych połączeń, jakiś nieprzewidziany wypadek mogą pokrzyżować pogoń — rzekł Kruze. — Prócz tego proszę wziąć pod uwagę, że komunikacja kolejowa z powodu rewolucyjnych rozruchów po większej części jest przerwana.

D. c. n.

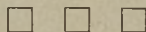


Bohdan Dyakowski.



O DAWNYCH I NOWYCH HARCERZACH.





Jedni harcami szczęścia próbowali,
Drudzy gotowcem do potkania stali.

Było w zwyczaju w średnich wiekach, a nawet i później, że przed zaczęciem bitwy wyjeżdżali w pojedynkę z obu wojsk dzielniejsi wojownicy i potykali się ze sobą, popisując się siłą, zręcznością i męstwem. Utarczki takie zwano harcami, a wojowników, biorących w nich udział, harcownikami albo harcerzami.

Harc był rodzajem popisu, potykanie się bowiem odbywało się w oczach licznych świadków, mniej lub więcej dzielnych i doświadczonych rycerzy, a surowych sędziów w tych sprawach. Ale zarazem był i prawdziwą bitwą, wymagającą tem większego męstwa, że harcownik musiał polegać tylko na sobie samym i nie mógł znikąd spodziewać się pomocy, skoro bowiem wyjechał na walkę w pojedynkę tak samo jak i jego przeciwnik, nierycerską byłoby rzeczą, gdyby towarzysze jego ruszali mu z pomocą w razie niepowodzenia. Sam wyjechał, sam też musiał walczyć, a jeśli nie sprostał przeciwnikowi, ginął z jego ręki lub stawał się jego jeńcem.

Dlatego to o udział w harcach dobijali się najdzielniejsi rycerze i tylko tacy mogli wyjeżdżać na harc, żeby nie zrobić wstydu swojemu wojsku.

Nazwa harcerza była też wielce zaszczytną i chlubną. Dlatego to i samą bitwę, zwłaszcza zwycięską, popisową, nazwano nieraz w przenośni harcami; dlatego mówiono: „harce ścierać” w znaczeniu „walczyć o pierwszeństwo”; „wyjechać na harc z nieprzyjacielem” znaczyło „zetrzeć się z kimś” i t. p.

Polscy wojownicy lubili wyjeżdżać na harc, popisywać się męstwem, odwagą i wprawą rycerską. Nie brakło nam nigdy dzielnycb harcerzy, którzy mężnie harcowali przed bitwą czy to z Krzyżakami czy później z Turkami; nie brakło też i harców w szerszem znaczeniu, ciągłych walk i ucierań się z najeźdźcami ze wszystkich stron świata. Ileż to pokoleń przodków naszych harcowało przez całe wieki z Turkami i Tatarami!

Zmienił się z czasem sposób wojowania, ustały harce-utarczki w pojedynkę przed bitwą, nawet i wojny przestały być takim chlebem powszednim jak niegdyś; zaciężne stałe wojska zajęły miejsce pospolitych ruszeń, do których obowiązywa-

ny był stawać każdy szlachcic, a więc potomek dawnych rycerzy; wyszła z użycia nazwa harcerza i harców.

Aż oto nagle słychać znów o harcach, harcerstwie, drużynach harcerskich i harcerzach. A nazwy te stosują się dziś do młodych chłopców, którzy dopiero mają zacząć „harce" z życiem, przygotowują się dopiero do nich i niczem jeszcze nie zasłużyli na tak zaszczytną nazwę. Jak to należy rozumieć? Czy zmieniło się znaczenie tego wyrazu czy też takie nowe stosowanie jego ma swój cel, swoje uzasadnienie?

Znaczenie istotnie uległo przy tem użyciu do pewnego stopnia zmianie, boć ci młodzi chłopcy, zwani w Galicji harcerzami a noszący także angielską nazwę skautów, nie urządzają harców w dawnem znaczeniu, przedewszystkiem nie jeżdżą wcale konno, ani nie staczają prawdziwych bitew.

A jednak nazwanie ich harcerzami ma swoje uzasadnienie nie ze względu na już dokonane czyny i zasługi, ale ze względu na cel, jaki sobie stawia młodzież, wstępująca do drużyn skautowskich.

Ojczyzną skautingu i drużyn skautowskich jest Anglja, a ojcem i twórcą ich generał Baden-Powell *), obrońca Mafekingu w czasu wojny z Boerami w r. 1899.

Mając za mało żołnierzy, generał ten w czasie oblężenia Mafekingu przez Boerów, zorganizował pomocniczy oddział wywiadowczy z młodych chłopców, których obowiązkiem było spełniać czynności ordynansów, sztafet, rozwozić pocztę, rozkazy a także o ile możności dokonywać wywiadów, zbierać wiadomości o stanie i rozkładzie sił nieprzyjacielskich. Ci młodzi wywiadowcy spełniali swoje obowiązki z prawdziwą dzielnością i poświęceniem, a ze znakomitym skutkiem.

Podsunęło to generałowi Baden-Powellowi myśl zawiązania w czasie pokoju takich oddziałów, w którychby młodzi chłopcy mogli zaprawiać się do służby wojskowej na wypadek, jeśli im wypadnie odbywać ją kiedy w przyszłości; a zarazem, aby kształcili się w nich bez względu na rodzaj przyszłego zawodu na pożytecznych obywateli ojczyzny, na ludzi dzielnych nietylko duchem lecz i ciałem.

W tym celu w kilka lat po wojnie boerskiej generał zorganizował w Anglji drużyny z młodych chłopców, których nazwał skautami, co dosłownie znaczy — wywiadowcy.

Oddziały te zostały oparte na zasadach żołnierskich takich samych jak w wywiadowczych oddziałach Mafekingu. Należący do nich chłopcy musieli odbywać jak najwięcej ćwiczeń i zabaw w polu; prowadzić o ile możności życie obozowe, przynajmniej od czasu do czasu; ćwiczyć się w spostrzegawczości, tropieniu, zaradności; uczyć się, znosić wytrwale głód, chłód, niewygody, — słowem kształcić, rozwijać i wzmacniać wszelkim sposobem swoje ciało.

Ale generał Baden-Powell rozumiał dobrze, że doskonały rozwój ciała to nie jest jeszcze wszystko, do czego dążyć powinien człowiek, że wpradzie dobre zdrowie daje podstawę dla rozwoju dzielnego charakteru, ale nie stwarza go jeszcze samo przez się; że dla osiągnięcia zupełnej harmonji w człowieku kształcić należy w nim koniecznie i ducha.

Podstawy do tego zawiera częściowo już sama organizacja wojskowa skautingu, która wymaga posłuszeństwa, karności, sumiennego spełniania obowiązków, a więc przyczynia się do rozwijania tych zalet w członkach drużyn skautowskich.

To jednak nie byłoby jeszcze wystar-

*) «Nasz Świat» drukował w r. 1912 opowiadanie Baden-Powella p. t. «Wywiadowcy».

czające do wykształcenia prawdziwie dzielnych i szlachetnych ludzi. To też skauting w dążeniach swoich wziął sobie za wzór nie zwykłego żołnierza, ale średniowiecznego rycerza a jako obowiązkową rzecz dla skautów postawił ćwiczenie się w cnotach rycerskich. Każdy z nich powinien być człowiekiem honorowym, prawdomównym, dotrzymującym słowa; powinien zawsze pomagać innym, a zwłaszcza słabszym i stawać w ich obronie wobec silniejszych; być rycerskim względem kobiet, dzieci i ludzi starszych, lub kalek; powinien ćwiczyć się w rozwijaniu w sobie dobrych uczuć i spełniać codziennie przynajmniej jeden dobry uczynek.

Skauting swojem życiem obozowem zabawami i ćwiczeniami na wolnem powietrzu pociągnął młodzież angielską i w ciągu kilku lat istnienia uczestników oddziałów skautowskich liczono już na setki tysięcy. Społeczeństwo poparło również tę organizację bardzo gorliwie, widząc dodatni jej wpływ zarówno na stan fizyczny chłopców jak i na ich charakter.

Z Anglji ruch skautowski przerzucił się bardzo prędko do innych krajów Europy i dziś wszędzie można widzieć dziarskie drużyny młodych skautów, oddających się z zapałem życiu obozowemu, hartowaniu ciała i podnoszeniu ducha.

Parę lat temu zawitał on do nas, przyjmując się najpierw w Galicji, gdzie przystąpiono zaraz do organizowania oddziałów skautowskich.

Sprawiedliwość jednak nakazuje przyznać, że jeszcze na parę lat przed tem zjawiła się u nas samodzielna próba takiej organizaaji, zupełnie niezależna od angielskiego skautingu a pokrewna mu zasadami i dążeniami.

Mianowicie młodzież gimnazjalna w Stryju zawiązała stowarzyszenie, mające na celu urządzenie ćwiczeń i zabaw w polu, hartowanie się fizyczne a zarazem i kształcenie się duchowe. Stowarzyszeniu swemu nadała ona nazwę „wjuz” od pierwszych liter wyrazów, stanowiących niejako hasło mazurka Dąbrowskiego „wolność, jedność, ufność, zgoda”. Nazwą tą założyciele chcieli wyrazić, że to samo hasło i ich także będzie prowadzić.

(D. n.)





„O własnych siłach“.

SZARADA

—o—

Trzecia, pierwsza, w Azji rzeka,
Która z gór wysokich ścieka
Trzeci, czwarty, imię znane
Dosyć często używane
Drugie, trzecie, obsiewane
Przez rolnika uprawiane
Wszystek, z zwycięstw słynął w świecie
Z dziejów dobrze o tem wiecie.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Płomyk

—o—

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których środkowe litery, czytane z dołu do góry utworzą imię i nazwisko wojownika i uczonego polskiego z XIV wieku.

Sylaby; ce, a, li, giet, ciusz, ta, ka, wi, cjan, ko, zan, wa, wi, zi, sen, bau, dej, po, ko, sza, ma, pea, gior, sze, splen, cis, in, ne, cy, le, bar, kle, gio, liz, o, na, jo, dor, mi, fe, dzie, nan, blis, ta, koś, nui, kar, lej, land, o, de, bu.

Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Czechach.
2. Cesarz rzymski z III w.
3. Imię żeńskie.
4. Jezioro w Ameryce połud.
5. Podróżnik duński.
6. Bohater polski.
7. Postać z pow. Bolesławity
8. Roślina jadowita.
9. Miejscowość w gub. Lubelskiej.
10. Część zbroi.
11. Inaczej przepych.
12. Powieściopisarz włoski.
13. Wyspa na oceanie Atlantyckim.
14. Malarz włoski.
15. Kwiat.
16. Słynny dąb na Żmudzi.
17. Wyspa w Afryce.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Irenę Gr.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów których początkowe litery czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko znakomitego współczesnego poety, obchodzącego niedawno swój jubileusz.

Sylaby: ni, mu, le, ka, mi, rzy, e, i, go, dan, gja, ro, mia, wie, te, il, na, a, fryd, te, a, jor, e, nie, gja, u, li, ro, la, na, łość, zo, stro, atr, rja, na, zyg, re, zop, o, u, e, mar, dyl, meń, to, lik, lo, pa, lo.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię żeńskie.
2. Inaczej przenośnia.
3. Jeden z bohaterów Nibelungów.
4. Jezioro w Rosji.
5. Rzeka we Francji.
6. Utwór liryczny.
7. Sławny bajkopisarz.
8. Szczątki pozostałe po ludziach lub rzeczach świętych.
9. Nauka.
10. Inaczej Niemcy.
11. Ptak australijski.
12. Przybytek sztuk.
13. Jedna z cnót ewangelicznych.
14. Nauka o wróżeniu z gwiazd.
15. Rzeka w Palestynie:
16. Część świata.
17. Starożytny naród.

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie. Ordynacka 3